



WŁADYSŁAW GANTEK

1. [Dane osobiste:]

St. strzelec Władysław Gantek, [ur.] 1896 r., rolnik, żonaty, ostatnio pracownik Polskiej Poczty i Telegrafu. 1 września 1939 roku zmobilizowany z przydziałem Główna Poczta Polska nr 4. Po wkroczeniu Sowieców w granice państwa polskiego, postanowiłem na rzecz Sowieców nie pracować, za wiedzą naczelnika poczty Kowal 1.

2. [Data i okoliczności aresztowania:]

Dnia 10 lutego 1940 roku o godz. 4.00 rano pięciu żołnierzy sowieckich i sześciu milicjantów zorganizowanych z włościan ze wsi Krymno, pow. Kamień Koszyrski, okrążyło mój dom, czterech zbirów sowieckich wpadło do mieszkania z krzykiem: „ręce do góry!” (przeszukanie w całym domu), dokonano przy mnie rewizji osobistej i żonę również zrewidowali. W czasie tej czynności, której dokonywało dwóch łotrów, inni dwaj stali z rewolwerami w ręku skierowanymi na mnie i żonę. Dzieci były w pościeli, na pół nieprzytomne, nie wiedząc o co chodzi, nie wołały jeszcze. Jeden z oprawców ściągnął je z łóżka, wepchnął do mego pokoju i rzekł, [że] jeżeli się poruszy, w tej chwili padnie strzał.

Broni oczywiście w domu już nie było, miała ona miejsce w lesie, czekała swego przeznaczenia.

Przeprowadzający rewizję po jej zakończeniu objaśnił mi, że jest członkiem NKWD i z jej ramienia działa i rozkazuje mi, aby cała moja rodzina była gotowa do wyjazdu w ciągu pół godziny.

Na zapytanie, dokąd mnie wywożą, odpowiedział mi, że niedaleko, tam mi będzie dobrze, lepiej niż tu.

Pozwolono mi zabrać ze sobą odzież i trochę żywności, jednak zaznaczono, że bagaż na jedną osobę nie może przekraczać 16 kilogramów i jeżeli będzie więcej, zostanie skonfiskowane. Reszta mojego mienia – objaśnił *stupajko* – zostanie za mną wysłana. (Cała gospodarka domowa i rolnicza idzie po dziś dzień).



Po upływie oznaczonej pół godziny wyprowadzono dzieci i skierowali je na sanie, zaś starsze wraz ze mną pod konwojem karabinów prowadzili pieszo do stacji kolejowej Pniewno. Myślałem że jestem wybrańcem u władz sowieckich, gdyż będąc na ustroniu od innych sąsiadów, nie widziałem, co się z nimi dzieje, ale kiedy przybyłem na stację, ze zgrozą stwierdziłem, że było już tam spędzonych setki rodzin osadniczych.

Na placu przed stacją lament i płacz, jedni żegnali pozostające rodziny, dalej płacz nad konającym na saniach, bo nawet i obłożnie chorych wydarli z gniazda rodzinnego, inni brali ziemię w chusteczki i całowali ją, żegnali ze szlochem kraj rodzinny, do którego już mieli nigdy nie wrócić.

Straszna to była chwila, która się już zbliżała. My wciąż czekamy. Na dodatek nieszczęścia szalony mróz i zamieć śnieżna, coraz to się wzmagają, zdawało się, że już i Bóg nas opuszcza. Płacz krzyczących od mrozu i głodnych dzieci powiększał tę zgrozę.

Po 24 godzinach przybył pociąg wąskotorówki, załadowano nas do wagonów, mężczyźni oddzielnie, kobiety i dzieci tak samo, do każdego wagoniku po 50 i 60 osób, było tak ciasno, że po kilku godzinach słabsi zaczęli mdleć od gorąca mimo silnego mrozu.

Wagony, jak się okazało, były już z góry przygotowane do tego celu, okna były zabite szczelnie deskami, cały pociąg obstawiony strażą, krzyki i wołania: „wody!”, „pomocy!” nie odnosiły żadnych skutków, do pociągu nikogo już nie dopuszczali. Miejscowa ludność zaczęła się garnać, niosąc chleb i mleko dla naszej biednej dziatwy – wartownicy grozili strzelaniem, rozpoczęła się płacz nad naszym losem.

Pierwsze oznaki głoszonej wielkiej swobody robotniczych warstw stanęły przed oczami ludności tubylczej, zaczął się płacz, zaczęli rzucać przekleństwa pod adresem *Krasnej armii*. Wtedy podstawiono maszyny i pociąg ruszył w kierunku stacji wąskotorowej Kamień Koszyrski. Tu już czekały wagony próżne, tak zwane *ciepłuszki*. W czasie przesiadki skonstatowałem, że cały powiat został wykarczowany, nie tylko z osadników, ale i wszystkich gajowych Lasów Państwowych i prywatnych.

Tu zaczęto łączyć rodziny i po kilka rodzin, aż do 60 – 70 osób, lokowali do jednego wagonu.

Urządzenia w wagonie: dwa piecyki z blachy, prycze piętrowe po jednej i drugiej stronie, na środku wagonu w podłodze otwór do załatwiania potrzeb osobistych, okna zakratowane lub

zabite deskami. Po załadowaniu wagony zostały zamknięte i z tą chwilą z naszych oczu znikł krajobraz naszej Ojczyzny. Pozostał jednak w pamięci, pozostały gorące uczucia naszych serc, pozostała tęsknota i chęć zemsty za zbrodnie dokonane na naszym kraju, za podstępną sąsiadzką w układzie rozbioru naszego kraju, zdradziecką przyjaźń z Niemcami. Z takim nastrojem wywieziono moją rodzinę na daleką Północ w tajgi syberyjskie i od pierwszej chwili kazano mnie i mojej rodzinie zapominać o Polsce! Łotry! Barbarzyńcy, którzy chcą szerzyć zarazę na cały świat; nędza i śmierć głodowa – wara wam!

3. [Nazwa obozu, więzienia, miejsca przymusowych prac:]

Posiołek, do którego mnie przywieźli i innych rodzin 55 – 56 nosił nazwę Sigierga [Siderga], rejon kargopolski, obłast archangielska.

4. [Opis obozu, więzienia itp.:]

Teren, na którym stał posiołek, zbudowany na porębie leśnej, płaskowzgórzu o gliniasto-kamienistej powierzchni, koło którego płynęła rzeka góraska [nieczytelne], [o] ostrym prądzie, zwana Jawzora, która wpada do dosyć wielkiej rzeki Piniega.

Cały posiołek składał się z sześciu baraków, z których cztery miały przeznaczenie jako mieszkania, a każdy z nich miał po osiem pokoi o różnych rozmiarach, a mianowicie cztery na pięć metrów (20 mkw.), pięć na sześć metrów (30 mkw.) budowane z okrągłaków w niedbały lub nieumiejętny sposób przez ludność tatarską wysiedloną znad Wołgi w roku 1930.

W takich pokojach rozlokowali nas po dwie, a to i trzy rodziny, 14 do 16 osób.

Były to raczej rudery, w których winny płązy przebywać, a nie ludzie. Szyby każda z 10 – 15 kawałków i w końcu okno dziurawe, drzwi sklecone [jak] spod siekiery, piece na pół walące się. Rozpacz brała na widok tych mieszkań. W czasie gotowania stawy (a raczej wody, bo nic więcej nie było) mieszkańcy dusili się od dymu, trzeba było drzwi otwierać zanim się skończy palić, tymczasem domownicy drżeli z zimna, a szczególnie biedne dzieci, bo mrozy były nie na żarty 45 – 50 i więcej stopni. Taka zima ciągnie się całe osiem miesięcy, długo jak całe wieki skazanych ludzi. Mieszkania wszystkie bez wyjątku zanieczyszczone przez pluskwy, prusaki, karaluchy, a na domiar złego w korytarzach są umieszczone ustępy, woń idzie do wszystkich mieszkań, środków dezynfekcyjnych nie było żadnych.

Droga ciągnie przez środek między barakami, na niej często nocują przyjezdne furmanki z sianem lub dostarczające mąkę na chleb, kaszę i owies dla koni zatrudnionych przy wywózce drzewa, tym samym objazd posiołka jest zanieczyszczony nawozem, zgniłą paszą i różnymi odpadkami.

5. [Skład jeńców, więźniów, zesłańców:]

Zesłańcy na posiołku byli to w większości osadnicy wojskowi (Polacy), urzędnicy państwowi, samorządowi, dalej gajowi lasów państwowych i prywatnych, ci ostatni w większości Rusini, o różnych poglądach społecznych i narodowych, nie należeli do przyjaciół naszego narodu.

Poziom umysłowy był średni i pospolity, w większości byli to ludzie spod byłego zaboru rosyjskiego, gdzie o szkolnictwo wcale nie dbano, a w szczególności dla Polaków, których starano się utrzymać w jak największej ciemności. Byli także i tacy, którzy na skutek wojny światowej nauki nie ukończyli, idąc na wojnę w latach dziecińczych.

Moralna strona w szczególności u Polaków była dobra.

Wzajemny stosunek koleżeński między zesłańcami wprawdzie był dobry, to jednak ze względu na władze, które na to zwracały bardzo wielką uwagę, w posiołku prawie wszyscy musieli i każdy żył zamknięty ściśle w kółku swej rodziny. Objawy przyjaźni można było zauważyć na miejscu wyznaczonej pracy, gdzie praca odbywała się większymi grupami, tak zwane brygady. Takich zasad życia koleżeńskiego nauczali nas Tatarzy, którzy ciężko pracowali razem z nami na robotach leśnych. Z nimi został nawiązany przyjacielski stosunek.

Ci ludzie, których spotkał ten sam los – zesłanie znad Wołgi na Północ – przeżyli szalone piekło terroru bolszewizmu. Warunki ich były o wiele gorsze od naszych, przywieziono ich śród zimy do lasów, gdzie nie było żadnego budynku, jedynie tylko straż miała dla siebie barak. Zesłańcy Tatarzy chronili się przed strasznym mrozem w szałasach, które budowali w pośpiechu z gałęzi świerkowych i to był ich dom przez całą zimę! W takich warunkach, od mrozu i głodu wyginęły prawie wszystkie małe dzieci. Na dowód prawdy jeden z nich, kiedy przyszedłem jako cieśla przy remoncie baraków na posiołek Waganik, zamieszkały przez tę ludność, pokazał mi mogiły, które powstały w ciągu dziesięciu lat, to oczom nie chciałem wierzyć. Bardzo żałuję, że nie policzyłem tych mogił dokładnie, bo kiedy zacząłem liczyć, mój towarzysz niedoli był zabobonny i nie pozwolił mi tej czynności skończyć. Powiedział

mi tylko tyle, że było ich przywiezionych 680 osób, być może uratowało się ucieczką – jeżeli ich nie połapali w drodze – trzydziestu mężczyzn. 328 osób jest żywych, w tym jest już kilka nowo przybyłych na świat, więc trudno określić liczbę zmarłych, wynikałoby około 320 ludzi, pozostali spośród nich ludzie tylko silni fizycznie, reszta zginęła z chorób i wycieńczenia.

Ci ludzie poznali wszystkie metody postępowania władz NKWD, toteż kiedy nas przywieziono, oddali nam wielkie usługi, dając nam wskazówki, jak się zachowywać w stosunku do nadzorców, jaki mają sposób kupowania na swe usługi ludzi i po czym się takich poznaje, czym ich wyróżniają, słowem były to cenne wskazówki, dzięki którym wielu naszych ludzi uniknęło dalszych represji.

6. [Życie w obozie, więzieniu:]

Rano godzina 5.00 pobudka przy pomocy bicia w deskę. Tak zwany *taraban* był pierwszym sygnałem, na drugi sygnał, który był o godzinie 7.00, wszyscy winni byli wyjść na plac i ustawieni brygadami odchodzić do pracy.

Główną pracą był wyrąb lasów na różne cele w kraju i na eksport.

Były i inne roboty, jak budowa nowych baraków, remont starych, tarcie desek, wyrób cegły i jej wypalanie, budowa dróg, karczowanie pól, koszenie łąk i wiele innych.

Długość dnia pracy. Rzekomo robotnik ma pracować osiem godzin, ale kiedy która brygada leśna czy inna zakończyła pracę po upływie ośmiu godzin, to chociażby wyrobił normę ustaloną, to cenę płacono mu bardzo niską i mówiono, że źle pracuje, a zatem i mało zarabia (*nužno pobolsze rabotat, bolsze počucitje*). Na każdej pracy były wyznaczone normy, której robotnik nigdy nie wyrobił, bo jeżeli dzisiaj ją wyrobił, to już jutro była wyższa.

Opłata była wyznaczona zależnie od klasyfikacji materiału, którą prowadzono dwustronnie, jedną dla robotnika, drugą dla siebie, okradanie człowieka pracy było na każdym miejscu.

Dzienny zarobek pracownika leśnego nie przekraczał trzech – pięciu rubli. Warunki pracy były bardzo ciężkie. Odległości od miejsca pracy były różne, od czterech do ośmiu kilometrów, od tego uzależniano wyjście do pracy, tak aby nie później jak na godzinę 8.00 być na miejscu. Mrozy do 42 stopni nie są żadną przeszkodą. Dopiero przy 43 – 45 stopniach robotnik może odmówić wyjścia do roboty. Zamieć śnieżna ani też ulewy nie

są zaliczane do przeszkód w pracy, jedynie huragan zwalnia od pracy leśnej, tak mówi technika (wszystko technika) bezpieczeństwa. W przeciwnym wypadku, jeżeli kto nie wyjdzie do roboty, odpowiada przez sądem za tak zwany *proguł*, w konsekwencji zostaje ukarany: po raz pierwszy 25 proc. ze swego zarobku na rzecz państwa przez okres trzech do pięciu miesięcy, za następny *proguł* 25 proc. od sześciu do dziesięciu miesięcy, dalsze nieprzyjście do pracy z [powodu] różnych okoliczności, jak wyczerpanie sił, przeziębienie, słowem każda choroba, która nie powoduje wyższej temperatury, jest traktowane jako symulacja i podlega karze za *proguł* – rok przymusowych robót i dalej pięć, dziesięć, piętnaście lat *zakluczenija*. Słowem nie ma tam ludzi, którzy by mogli wyrażać swoją wolę, jak to głosi konstytucja *naszego promundrogo Stalina. Nasza priekrasna żyzn wsiech trudiaszczych sia, wolnych graždan, Sowieckiej strany!*

Obłuda! Niewolnictwo, jakiego świat nie zna w żadnej historii życia narodów. Ubóstwo, nędza skrajna i wolne konanie głodnych ludzi, bez nadziei i zapewnienia jutra. Nikt nie jest pewny, czy jutro [dostanie] swoją rację chleba, komendant posiołka może ją zmniejszyć, całkiem skreślić. Są to panowie życia i śmierci. Ci, którzy mogą zabrać bez żadnego sądu narodowego – tak czyniono z Tatarami, których wzywano w nocy i więcej już nie wracał.

Wyżywienie wymiennie, tzn. codzienne racje dla robotników i dzieci, które zostały wyznaczone z góry przez NKWD. Dla robotnika chleba 500 gramów, dzieci i starcy 300 gramów. Kasza owsiana na robotnika kilogram na miesiąc! Zaś dla dzieci i starców 500 gramów; cukru dla robotnika 500 gramów na miesiąc, dla dzieci i starców 200 gramów. Za okres 18 miesięcy kupiłem na rodzinę (siedem osób) 8 kilo kartofli, 6 kilo ryby suszonej i 2 kilo mięsa z koniecznego uboju. Taką dawkę miałem wyznaczoną. Inni, którzy poszli na usługi NKWD, otrzymywali w dowolnej ilości chleb, olej, rybę, mięso, kaszę. Tę sprawę poruszę niżej.

Ubranie. Każdy pracownik mógł rzekomo kupić ubranie dwa razy do roku, a to: jedno letnie, drugie zimowe. Jednak zaznaczyć należy, że mógł je nabyć tylko wtedy, jeżeli komendant posiołka na to pozwolił. Zależało, jaka była przeszłość danego pracownika, jego lojalne zachowanie [w stosunku] do sowieckiego ustroju, jego stanowisko, jakie zajmował w Kraju, wszystkie te dane były doskonale znane członkowi NKWD, komendantowi posiołka, oczywiście przy pomocy szpiclów. W końcu, jeżeli masz przyznane prawo kupna z uwagi, że nie miał w czym chodzić do pracy, to znów nie miał za co kupić, bo jeżeli kupił ubranie, to nie

miał na chleb. Ceny odzieży: kufajka 55 rubli, spodnie (*briuki*) 35 za parę, walonki 65 rubli. To było ubranie zimowe, zaś letnie sprzedawano po dwa metry cajgu na spodnie, co nigdy nie starczało na ubranie nowe, a tylko na reperacje starego. Dam taki przykład: przez 18 miesięcy na pięć osób sprzedano mi siedem metrów płótna w marnym gatunku i też zaledwie na reperacje bielizny. Słowem każdy człowiek z warstw pracujących trząśł łańchmanami, przez które przeświecało ciało sine! Przygarbiony ciężarem życia, wzrok utkwiony w ziemię, nigdy nie widać uśmiechu na twarzy. Z wyglądu jego postaci wyczytać można całą historię tej wielkiej swobody sowieckiego raj.

Życie koleżeńskie trudno jest określić. Każdy żył na własną formę, zamknięty w kółku swej rodziny, bo każde wyjście choćby do sąsiedniego mieszkania było już podejrzone jako zebranie w celu wywołania sabotażu, każde zebranie się nawet małej grupki ludzi było surowo wzbronione. Nawet w dzień wychodne (w świętą niedzielę) nie wolno było się zebrać na wspólną modlitwę w tym czy innym mieszkaniu. Byli tacy, którzy o każdym kroku naszym donosili, jedynie miejsca pracy były możliwością, gdzie wyrażały się uczucia przyjaźni, gdzie się brało pod uwagę każdego spośród przebywających na posiołku, jego uczucia patriotyczne, kto jest zdrajcą spośród przybyłych z nami, jakie są wiadomości z Kraju i od rodzin naszych, z zagranicy. Wreszcie śpiewanie pieśni narodowych, słowem wszystko, co polskie, tam można było omawiać, miejsca pracy nie mogli nazwać zebraniem.

Tu zbierali się koledzy i przyjaciele, zdrajcy byli zawsze odseparowywani lub, gdy zbliżali się, rozmowa zamierała.

7. [Stosunek władz NKWD do Polaków:]

Jeżeli chodzi o sposób podejścia NKWD do naszych ludzi, chytre te lisy bardzo szybko upatrywały sobie ofiarę o niskiej wartości duchowo-moralnej i od takiej w grzeczny sposób zaczynał się wywiad o osobie trzeciej, od tych słów; no jak żyjesz w *sowieckiej stranie*? Jak ci się powodzi? Odpowiedź prosta dobrze, „no, niekoniecznie dobrze, teraz wojna”.

Dalej pytanie, czy zna Gantka, czy innego, kto on i czym się zajmował w Polsce, do jakich organizacji należał, co mówi o Sowietach. – No a jedzenia ci wystarcza? A zarobek dobry? Pieniądzy masz dość? Jeżeli nadawał się jako sprzedawca swych braci, zaraz następnego dnia otrzymywał większą rację chleba, cukru, olej, rybę, krupy, papierosy. Łotr taki był przerzucany z jednej do drugiej brygady robotników i podsłuchiwał, co mówią i myślą o Polsce, Sowietach,

Niemcach itd. Całe szczęście, że w ten sposób wyróżniali sprzedawców, bo szybko się było można dowiedzieć, kto nim jest.

Kto zaś nie dawał żadnych informacji, był prawym Polakiem, po takiej wizycie w NKWD przymierał głodem dalej, wiedzieliśmy, że to jest nasz człowiek, zresztą zaraz opowiadał cały przebieg badania.

W ten sposób po siedmiu miesiącach odpadło trzech naszych ludzi, których wyjawiam nazwiska: 1. Józef Jabłoński, osadnik wojskowy z Rudki Lubieszowskiej, pow. Kamień Koszyrski, woj. poleskie, obecnie służy w armii, jest w Anglii rezerwa Naczelnego Wodza; 2. Król – imienia nie pamiętam – gajowy Lasów Państwowych, leśnictwo Nujno, gminy i powiatu Kamień Koszyrski, woj. poleskie, gdzie przebywa, nie wiem; 3. gajowy z lasów prywatnych hr. Władysława Krasickiego, majątek Worokomle, gm. Wielka Głusza, pow. Kamień Koszyrski, woj. poleskie, nazwiska jego nie znam.

Po zebraniu informacji od takich sprzedawców o osobie trzeciej, ta zostaje wezwana i bada się ją. Jeżeli się nie przyznaje do niczego, to po takim badaniu zostaje stale na obserwacji i co pewien czas w dzień czy w nocy w chwilach wolnych od zajęć jest badana przez komendanta posiołka. Opornym obniża się racje żywnościowe, obniża się płacę za pracę. To odczuwałem na własnej skórze, zawdzięczając członkowi Związku Osadników Wojskowych.

Są to ciężkie sposoby badania, nie tylko odczuwa je badany, ale i cała rodzina, bo i jej żywność ograniczają. Są to sposoby wypróbowane i dają straszne rezultaty.

Żadna kara cielesna nie będzie tak bolesna, jak obserwacja własnego rodzeństwa powoli umierającego z głodu. I przychodzi myśl, i sądzi się, że jeżeli przyznasz się do winy, której żeś nie popełnił, to uratuje życie rodziny. Taka walka duchowa odbiera resztkę sił fizycznych i to wszystko są skutki [postępowania] denuncjatorów, kolegów, którzy się sprzedali za kawałek chleba i trochę tłuszczu.

Propaganda komunistyczna. Każdego tygodnia urządzano mityngi w krasnym „*ogułkach*” i wmawiano, że o Polsce już nam nawet myśleć nie wolno, bo jej *nietu* i nie *budiet*, tu was przywieźli i tu wam żyć, tu zdechniesz. Prelegenci bolszewicy i komunistyczni starali się przedstawić nam w jak najgorszym świetle nasze władze rządowe. Na jawne nasze protesty głosili nas jako *zaszczytników* polskich panów, mówili *eto zaszczytniki, bywsze krupne kułaki*; oni myślą, że Polska będzie, a o tym na wodzie witkami pisane.

8. [Pomoc lekarska, szpitale, śmiertelność:]

Pomocy lekarskiej dla pracowników nie było prawie żadnej. Lekarz tam jest tylko po to, żeby – jeżeli dany pracownik nie stawi się do roboty ze względu na zły stan zdrowia – to lekarz nie szuka przyczyny choroby, jego cała czynność przy chorym to jest zmierzenie gorączki: jeżeli jest wyższa niż 38 stopni, to chory otrzymuje jeden do trzech dni zwolnienia od pracy i na tym się kończy czynność lekarza.

Czasem rozporządza aspiryną, kroplami walerianowymi, miętowymi. Lekarstwa te są od wszystkich chorób; jodyna jest rzadko spotykana, a jej najwięcej potrzeba.

Chory nie wzywa lekarza, bo jeżeli [nie] wyjdzie do roboty, to *uczastkowy* zawiadamia komendanta posiołka, ten zaś przychodzi z lekarzem. Jeżeli chory nie ma gorączki, zostaje wypędzony do roboty i za opóźnienie 10-minutowe jest sądzony za *proguł*, zaś dalszą konsekwencją jest obniżenie racji żywnościowej za symulację.

Szpital jest prawie na każdym posiołku. Do szpitala dostawał się tylko konający, pobyt jego zwykle trwa bardzo krótko: trzy, cztery, pięć [dni] i kończył życie. Szpital dla chorego różnił się tym, że otrzymywał na dzień dwie do trzech szklanek mleka, a czasem nawet trochę rosołu. Budynek, w którym mieścił się szpital, nie był w tym celu budowany, zresztą całe to wielkie słowo *bolnica* to jest jeden pokój, w pierwszym lepszym baraku, a w nim dwa, trzy łóżka o niezbyt czystej pościeli, składającej się ze zwykłego siennika, prześcieradła i koca.

Śmiertelność. Jeżeli chodzi o wypadki śmierci pośród polskiej ludności, to było bardzo wiele wypadków, a w szczególności wśród dzieci. Nie pamiętam wieku dzieci i wszystkich nazwisk, jednak te, które mam w pamięci wymienię.

Dwie córki Wiśniewskiego,
syn Władysława Bednarka (przyczyny śmierci w butelce w grobie),
córka Gałczyńskiego z Czerwiszu,
syn Hofmana,
córka Rutkowskiego,

Dalej trzy nazwiska starszych osób, które mam do dziś w pamięci:

Stanisław Jakl lat 47,

Maria Tomaszewska lat 36 (przyczyny śmierci w butelce w grobie),

Wiśniewska.

Na ogólną liczbę 380 ludzi na skutek różnych chorób i z braku pomocy lekarskiej zmarły 24 osoby w ciągu 18 miesięcy. Cmentarz, na którym są pochowani ludzie, których wymieniłem, leży w odległości mniej więcej 900–1000 metrów na północny zachód od posesji i od rzeki Jawzery na północ, prawie w tej samej odległości, wśród poręby leśnej. Mogiły Polaków są oznaczone krzyżami, jak również i napisami; w niektórych mogiłach w nagłowniu są dowody i przyczyny śmierci w butelkach.

9. [Czy i jaka była łączność z krajem i rodzinami?]

Łączność z krajem była w większości za pośrednictwem korespondencji, której bardzo mało się otrzymywało. Rodziny pisały, że wysyłają listy każdego tygodnia, ja zaś – jeżeli mój pobyt na Północy trwał 18 miesięcy – to za ten cały czas otrzymałem trzy listy. Stąd wniosek, że istniał jakiś mój anioł stróż, który te listy podejmował. Takimi aniołami nazywaliśmy NKWD i oni te listy podejmowali. Czasem przychodziła poczta łącznikowa, rzekomo był to kurier w postaci kolejarza w służbie u Sowieców, który miał łączność z naszymi kolegami, którzy mieli swe miejsca pracy na stacji kolejowej Archangielsk i ten udzielał informacji ustnej, a czasem nawet koledzy otrzymywali listy od rodzin bez żadnego śladu cech poczty, stąd wynika, że ten kurier istniał. Takie wiadomości z kraju, z tego źródła przychodzące, docierały do nas najszybciej. Normalny list od rodziny, [który] szedł przez pocztę sowiecką, dostawał się do naszych rąk dopiero po trzech, czterech, pięciu, a to i po ośmiu miesiącach.

10. [Kiedy został zwolniony i w jaki sposób dostał się do armii?]

Zwolniony zostałem 5 września 1941 roku. Wyjechałem z Północy wraz z rodziną na własny koszt. Było to wprawdzie ryzykowne, środków komunikacji nie było żadnych, władze sowieckie do tego nie przykładały ręki, w wyjątku wydania *udostowierienija*, a poza tym nic więcej. O wynajęciu koni nie było można nawet myśleć, bo zostały zmobilizowane do armii. Wprawdzie, kiedy się już dostałem tratwą na rzekę Pinieję, to w kołchozach nadbrzeżnych można było kupić jakąś starą łódź, to jednak wymagało czasu, aby ją znaleźć i to jeszcze pytanie, jak daleko na niej się pojedzie, aby nie na dno. Z drugiej strony ceny były

tak wysokie, że nie sposób było coś podobnego kupić, kiedy się ma do rozporządzenia na całą podróż zaledwie kilkaset rubli, utargowanych za ostatnią odzież z Kraju, którą rodzina zachowała na czarną godzinę.

Odległość do rzeki Dźwiny Północnej była 478 kilometrów, a tam już była stała komunikacja parostatkami. Całe szczęście od samego posiołka płynęła mała góraska rzeczułka zwana Jawzorą, którą z trudem było można przebyć na małej tratwie i to przy bardzo małym obciążeniu, ze względu na to, że koryto tej rzeki jest bardzo płytkie. Całe szczęście, że powrót nasz z Północy był grupowy, jechało nas 23 rodziny i tyleż samo małych tratw płynęło po płytkiej rzece.

Często tratwy wpadały na kamienie i zostawały umiejscowione, w takim wypadku bez pomocy kolegów nie byłoby mowy o dalszym płynięciu. Przez wypłynięciem na dość dużą rzekę Pinigę powiększyliśmy swoje tratwy, a nawet połączyli po dwie i więcej w jedną. Mimo środków ostrożności, które zastosowałem, znając wybryki wody na większych rzekach w czasie burzliwej pogody, okazało się, że nasze tratwy są za małe i czasem były tak zalewane falami, że woda sięgała prawie do kolan, co przy wrześnie porze na Północy nie należało do przyjemności.

Czasem zdawało się, że tułaczka skończy się, ale na dnie rzeki. W takich chwilach płacz dzieci na tratwach wydobywał ze mnie i moich kolegów ostatnie siły, aby dotrzeć na ląd. Widmo śmierci wywiera pewien wpływ na człowieka, a w szczególności, jeżeli się odpowiada za życie całego rodzeństwa. Nieraz przychodziły takie chwile na moich podróżników, że już chcieli rezygnować z dalszej podróży, która w połowie dopiero drogi tak się dała wszystkim we znaki. Chęć wyrwania tej biednej dziatwy z dalekiej Północy dodawała mi sił i tym samym miałem za święty obowiązek wpłynąć na kolegów.

Po przebyciu siedmioletniej podróży przybyłem do Tatiszczewa przy końcu października i tam zgłosiłem się jako ochotnik do oddania wszystkich swych sił w armii polskiej w 5 Dywizji Piechoty. [W] WKU zapytano mnie o rodzinę, którą zostawiłem własnemu losowi bez żadnego zabezpieczenia. Otrzymałem radę, aby jechać z powrotem do rodziny i ulokować [nieczytelne], a następnie przysłać swój adres i czekać na powołanie.

Wprawdzie czekałem na powołanie dosyć długo, bo aż do końca lutego, to jednak się nie zawiodłem. 26 lutego 1942 roku przybył na [nieczytelne] specjalny delegat i zabrał kilka rodzin, około 90 osób, między innymi i moją.



W Tatiszczewie przyłączono nas do transportu wojskowego i wysłano aż do Iranu. Tu dopiero przyjęto mnie wraz synem, który wstąpił jako ochotnik do wojska, za co jestem niewymownie wdzięczny dowództwu armii polskiej.

M.p., 19 lutego 1943 r.